

# Jak Niemcy wymyślili euro

15 lipca 2020

Mija 30 lat od momentu, w którym zachodnioniemiecka marka zawitała do dogorywającej NRD. Było to wydarzenie bez precedensu – ta decyzja zaważyła nie tylko na losach Niemiec, ale również – całej jednoczącej się Europy.

Goszczący w Warszawie w listopadzie 1989 r. kanclerz Helmut Kohl otrzymywał szokujące wiadomości. Mur dzielący Berlin od ponad 28 lat zaczął się sypać. Mimo szczególnego charakteru wizyty w Polsce, postanowił natychmiast wracać do Niemiec. Były to trudne czasy i dostanie się do Berlina nie było łatwym przedsięwzięciem. Kohl leciał z Warszawy do Berlina przez Hamburg, co dla młodszych czytelników może wydawać się swoistego rodzaju science fiction.

W Berlinie został przywitany chłodno, zwłaszcza na tle owacji, jaką zgotowali obywatele NRD niespełna półtora miesiąca wcześniej jego ministrowi spraw zagranicznych Hansowi-Dietrichowi Genscherowi w ambasadzie RFN w Pradze. Z każdą kolejną wizytą Kohla w chylącej się ku upadkowi NRD było coraz gorzej. Przekaz obywateli NRD był jasny i brzmiał „jeśli marka zachodnioniemiecka nie przyjdzie, i to zaraz, to oni przyjdą po nią”. Przeżywająca boom zachodnioniemiecka gospodarka początkowo nie miała problemów z absorpcją coraz większej liczby obywateli NRD. Wszystko ma jednak swoje granice. Zarówno zdolności gospodarki RFN, jak i przede wszystkim – cierpliwość obywateli NRD.

Trudno chyba o lepszy przykład tego, jak gospodarka przeplata się z polityką. Jeszcze dziś można usłyszeć głosy, że rzekoma unia walutowa z lipca 1990 r. była jedną z największych, współczesnych pomyłek gospodarczych. Z punktu widzenia ekonomicznego nie miała żadnego sensu, zwłaszcza jeśli patrzymy pod kątem obranego parytetu 1:1. Na czarnym rynku relacja marki zachodnioniemieckiej do marki

wschodnioniemieckiej oscylowała wokół poziomu 1:7, a w porywach sięgała nawet relacji 1:10. Skąd więc wziął się parytet 1:1?

## Konsekwencje parytetu

Po pierwsze, trudno nazwać omawiany proces mianem prawdziwej unii walutowej. Był obwarowany szeregiem ograniczeń. Parytet 1:1 dotyczył limitu 4000 marek dla każdego dorosłego obywatela (a dokładniej dla obywateli od 14 do 58 roku życia). Emeryci (powyżej 59 lat) mogli wymienić 6000 marek. Na dzieci poniżej 14 lat przypadało 2000 marek. Po omawianym kursie przeliczano też wynagrodzenia oraz umowy najmu. Reszta wschodnioniemieckich marek była już wymieniana dużo mniej korzystnie.

Po drugie, perspektywa najazdu setek tysięcy (a może i milionów) obywateli NRD musiała paraliżować decydentów w Bonn. Innymi słowy, nie było czasu na rozważania ekonomiczne. Co gorsze, jak się okazało, kanclerz Kohl nie miał ani czasu, ani ochoty na telefonowanie do Frankfurtu, do człowieka, który kierował instytucją odpowiedzialną nie tylko za emisję zachodnioniemieckiej marki, ale także za jej nieskazitelną reputację. I chyba właśnie brak tego telefonu spowodował, że wszyscy Europejczycy odczuli skutki niefrasobliwości niemieckiego kanclerza.

Po trzecie, decyzja została podjęta w pośpiechu i w efekcie kosztowała ogromne pieniądze. Po 20 latach od zjednoczenia rachunek całej operacji wyniósł 2 biliony euro (cztery razy więcej niż obecne PKB Polski), czyli 100 mld euro rocznie. A jaka będzie jego ostateczna wysokość, tego nikt nie wie. Do końca tego roku wszyscy pracujący w Niemczech będą musieli uiszczać uchwalony w 1991 r. podatek solidarnościowy na pokrycie tych kosztów. Później będą musieli go płacić tylko najbogatsi.

Po czwarte wydarzenia sprzed 30 lat wymuszają pytanie – skoro

zjednoczenie dwóch państw niemieckich następczo i nadal następczo tyle problemów, to co zrobić ze zjednoczeniem całej Europy? W opisywanej historii łączył się naród mający tę samą kulturę, tradycję, historię i przede wszystkim język. A unifikacja Europy oznacza łączenie się różnych narodów, odmiennych kultur i – co ważniejsze – innych celów polityki gospodarczej.

## **Nowa unia walutowa**

Pojawienie się zachodnoniemieckiej marki w portfelach obywateli NRD zbiegło się w czasie z innym ważnym wydarzeniem – uruchomieniem pierwszego etapu planu mającego doprowadzić kraje ówczesnej EWG do unii walutowej. Z pozoru wydarzenia wydawały się niepowiązane ze sobą. Goszczącemu jesienią 1989 roku w Warszawie kanclerzowi tematyka unii walutowej nie była do końca obca. Chodziło jednak o zupełnie inną unię. EWG znalazła się w dużym impasie, bo opracowane pod egidą Francji plany (a dokładniej plan przygotowany przez Jacques'a Delorsa i tak właśnie nazywany) dochodzenia do unii walutowej nie spotkały się z uznaniem strony niemieckiej. Niemcy chciały wziąć swoich europejskich partnerów na przeczekanie i z upływem czasu postawić na swoim. Wiadomości pochodzące z okolic Bramy Brandenburskiej pokrzyżowały te plany.

Z czterech zwycięskich mocarstw, które miały wpływ na przyszłość procesu zjednoczeniowego, Kohl mógł być pewien tylko postawy USA. Oczywiście zgoda ZSRR była warunkiem niezbędnym, ale 1989 rok dawał podstawy do optymizmu. Problemem pozostały dwa mocarstwa, których wpływ był dużo mniejszy. Ale podczas negocjacji usiłowały ugrać coś dla siebie. Zwłaszcza Francja, której prezydent François Mitterand wiedział, że po upadku muru nie da się zatrzymać unifikacji Niemiec. Dzisiaj ekonomiści oraz historycy są podzieleni co do tego, jak przebiegały negocjacje z Paryżem. Dla Mitteranda wydanie zgody na zjednoczenie Niemiec było dobrą okazją do przewyciężenia impasu, w którym znalazły się rozmowy na temat

wdrożenia planu Delorsa. Mimo otwarcia archiwów, nadal nie wiemy dokładnie, o czym rozmawiał Mitterand z Kohlem. Choć niektórzy kontestują (np. Niels Thygesen oraz Daniel Gros) teorię, że prezydent Francji zażądał od kanclerza Niemiec zgody na plan Delorsa w zamian za zgodę na zjednoczenie, to jednak istnieją przesłanki, by w nią wierzyć.

Jeżeli rzeczywiście Kohl usłyszał taką ofertę od Mitteranda, to wiedział, że jej przyjęcie byłoby równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Bundesbankowi. Nie miał zapewne złudzeń, jak nad Sekwaną podchodzą do zjednoczenia Niemiec. Być może brzmiały mu w uszach słowa francuskiego laureata Nagrody Nobla François Mauriac, który mówił, że tak bardzo kocha Niemcy, że jest szczęśliwy, bo na mapie pojawiły się aż dwa państwa niemieckie. Zapewne podobnie myślało wiele pokoleń francuskich polityków.

Ale czy w obliczu historycznych wydarzeń należy przejmować się sprawami gospodarczymi? Niby pytanie retoryczne, ale stało się kością niezgody między kanclerzem a prezesem Bundesbanku. Spór utrudniał fakt, że Kohlowi gospodarka nigdy nie była bliska. Nie zmienia to faktu, że w pamiętnym roku dwukrotnie zaserwował Bundesbankowi gorzką pigułkę do połknięcia – de facto akceptację planu Delorsa oraz przeforsowanie kursu wymiany marek.

## **Roła Bundesbanku**

Zjednoczenie Niemiec niosło za sobą ogromne skutki zarówno natury politycznej, jak i gospodarczej. Ogromna nadwyżka na rachunku bieżącym (przekraczająca 4 proc. PKB), którą RFN notowała do końca lat 1980., prawie jak za dotknięciem magicznej różdżki została zamieniona w deficyt (rzędu prawie 2 proc.). Taki zwrot miał też przełożenie na rentowność niemieckich obligacji. Przez większość pierwszej połowy lat 1990. rentowność dziesięcioletnich obligacji zaczęła przewyższać rentowność amerykańskich odpowiedników. Eksporter

oszczędności stał się ich importerem. A do tego wszystkiego dochodziła rosnąca inflacja, jako efekt ogromnych transferów na wschód Niemiec. Niemiecki bank centralny nie mógł już dłużej pozostawać obojętny.

Po 1990 r. Bundesbank przeszedł do konkretnych działań, zwłaszcza że do tego momentu nikt jego ostrzeżeń nie brał na serio. A kanclerz pokazywał światu, że nie przejmuje się uwagami swojego banku centralnego.

Bankierów centralnych często porównuje się do gospodarza, który wie, jak długo należy zaproszonych gości częstować przygotowanym przez siebie ponczem. I co najważniejsze wie, kiedy należy go wynieść. Metafora autorstwa byłego prezesa Fed, Williama McChesneya Martina, dobrze opisywała postawę Bundesbanku, który w sposób brutalny skończył zabawę, nie bacząc na żale bawiących się gości.

Efektom zwrotu w postawie Bundesbanku było wywindowanie niektórych stóp do rekordowo wysokiego poziomu. Skutkiem był masowy odpływ kapitału z wielu krajów, które usiłowały wiązać swoje kursy walutowe z kursem marki niemieckiej. W latach 1992-1993 doszło do tak dużych napięć, że perspektywa wprowadzenia unii walutowej wydawała się nierealna. Sporo czasu upłynęło, zanim sytuacja się uspokoiła i można było wrócić do rozmów na temat wprowadzenia euro.

Przed zjednoczeniem Niemiec tak ostra reakcja Bundesbanku wydawała się niemożliwa. Oczywiście zawsze bronił jak lew stabilności pieniądza zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Niemiec. Słynna klauzula Otmara Emmingera (prezes banku centralnego Niemiec w latach 1977-1979), dająca prawo Bundesbankowi odmówienia ratowania słabszych walut w ramach mechanizmu ERM, powstała na długo przed upadkiem Muru Berlińskiego. Jednak tak nieugiętego Bundesbanku, jak w okresie bezpośrednio po zjednoczeniu Niemiec, Europa jeszcze nie widziała.

# I co dalej?

Czy po zjednoczeniu Niemcy stali się bardziej asertywni? Być może mieli już dość zgniłych kompromisów, ale bez nich trudno jest uprawiać politykę. Może za sprawą opisywanych tutaj w sposób bardzo powierzchowny kulisów dochodzenia do unii walutowej, decydentom umknęły ważne sprawy wychodzące poza ekonomię? Różnice w mentalności okazały się fundamentalną przeszkodą w pełnym zintegrowaniu państw niemieckich. A przecież na szczeblu europejskim te różnice nabierają jeszcze większego znaczenia. Jedną z nich jest stosunek do pieniądza publicznego.

Kiedyś mój szef w Bundesbanku jechał na konferencję do Rzymu i był oburzony cenami hoteli zaproponowanych przez organizatorów. Wszystkie przekraczały 200 euro. Więc poprosił asystentkę, by znalazła hotel w cenie 100 euro, gdyż jego zdaniem nocleg w Rzymie nie jest wart 200 euro. Wątek ten był poruszony też kiedyś przez Financial Times. Na organizowane przez rząd w Hadze spotkanie holenderskich ambasadorów z całego świata, większość dojechała albo rowerem, albo komunikacją publiczną. Na podobne spotkanie w Rzymie większość przyjechała limuzynami prowadzonymi przez kierowców. Nic dziwnego, że kurs holenderskiego guldena najszybciej się ustabilizował wobec niemieckiej marki, a kurs lira niemal do samego końca tracił na wartości.

Oczywiście jestem daleki od twierdzenia, że Niemcy złożyli z siebie ofiarę na ołtarzu integracji europejskiej. Jestem świadom wszystkich korzyści, jakie czerpią z euro. Niemniej warto czasami wspomnieć też i o kompromisach, na które musieli pójść, żeby urzeczywistnić marzenia milionów Europejczyków. W jednej kwestii pozostali jednak bezkompromisowi.

W grudniu 1995 r. oświadczyli, że nie podoba im się nazwa nowej waluty. Mieli ku temu powody, począwszy od fonetyki, czynników kulturowych, aż po kwestie społeczno-psychologiczne.

Nowa waluta miała nazywać się ECU. Mieli z tym kłopot, zwłaszcza że francuska wymowa kojarzyła im się z krową. Rzecz jasna, nie zamierzali płacić krowami.

Innym prozaicznym powodem był fakt, że w Bawarii istniał browar, który produkował piwo o nazwie ECU. Faworyzowanie jednej marki w kraju piwoszy to poważna sprawa. Ale był jeszcze inny wątek, którym nie chcieli się zbyt chwalić. Otóż samo ECU źle się kojarzyło, gdyż od momentu powstania nieustannie traciło na wartości wobec niemieckiej marki. Od roku 1979 ECU zdążyło stracić grubo ponad 20 proc. swojej wartości. Dlatego zmiana nazwy mającej niebawem wejść w życie waluty miała na celu także swoistego rodzaju reset. Do końca nie wiadomo, jak przebiegały negocjacje, ale w pewnym momencie, w trakcie szczytu madryckiego w grudniu 1995 r., wszyscy postanowili wznieść toast na rzecz euro, nowej nazwy waluty, która po wielu turbulencjach weszła w życie nieco ponad trzy lata później.

Autorstwo: [Paweł Kowalewski](#)

Źródło: [ObserwatorFinansowy.pl](http://ObserwatorFinansowy.pl)